

**Wyprawa członków Stowarzyszenia Chorych
na Astmę Oskrzelową i Medycznego Klubu Turystycznego
w Karpaty Ukraińskie, na Huculszczynę i Pokucie**

Tam szum Prutu, Czeremoszu...

**10 czerwca 2009 roku wyruszyła
spod budynku Kliniki Pneumonologii,
Onkologii i Alergologii grupa
miłośników przygód, których
dostarcza podróżowanie po Ukrainie.
Tym razem naszym celem były
Karpaty Ukraińskie i dawne polskie
miasta przedwojennego pogranicza
polsko-czechosłowackiego
i polsko-rumuńskiego.**

DR HAB. PAWEŁ KRAWCZYK

KATEDRA I KLINIKA
PULMONOLOGII, ALERGOLOGII I ONKOLOGII
UM W LUBLINIE

Naszym zamiarem było odwiedzenie legendarnej Huculszczyzny – górskiego obszaru, który obok Tatr i Podhala, był głównym terenem zainteresowania polskich turystów okresu międzywojennego. W głównym grzbiecie Czarnohory wznoszą się dwa wybitne wierzchołki przekraczające 2000 m n. p. m. – Pop Iwan z ruinami polskiego obserwatorium astronomicznego i najwyższy szczyt Ukrainy – Howerla. Dalej na zachód ciągnie

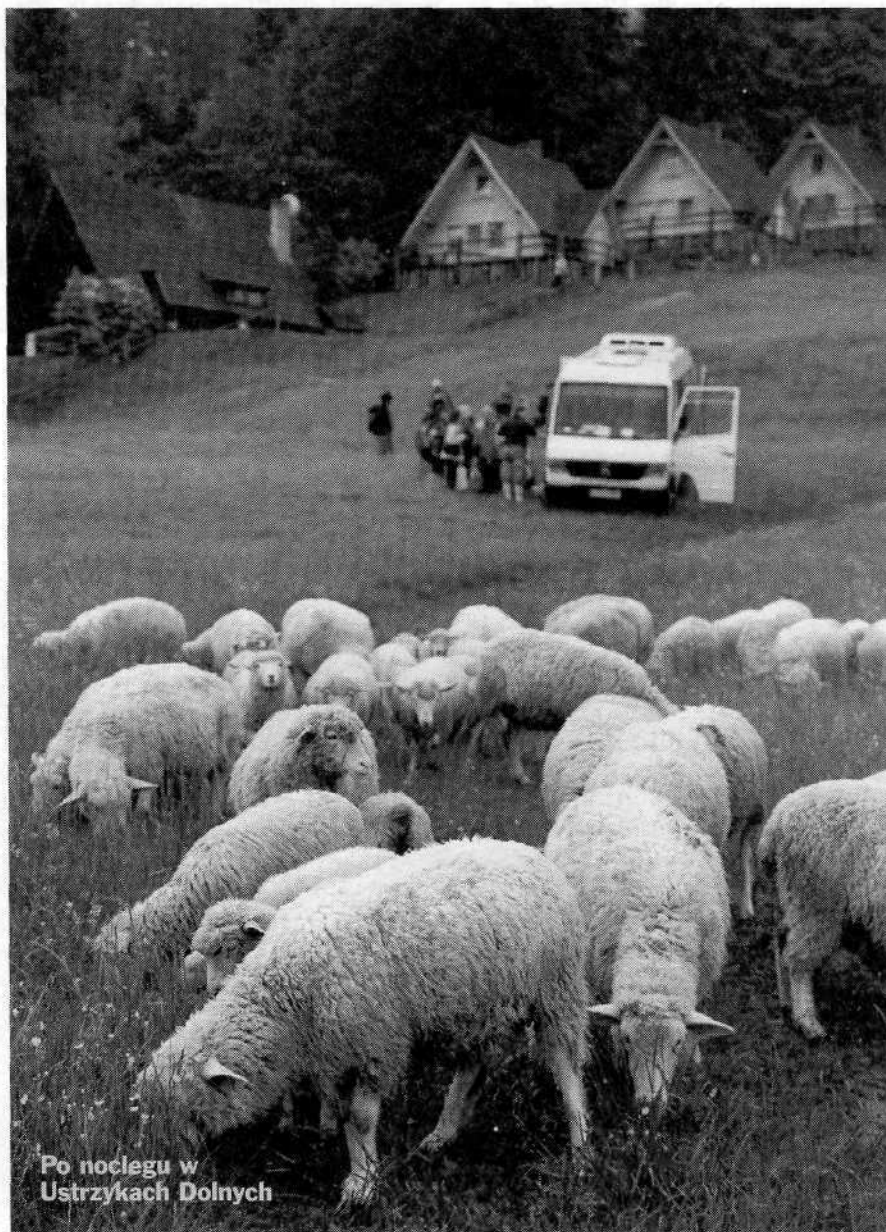
się dzikie pasmo Gorganów. U podnóża łańcucha Karpat Wschodnich zlokalizowane są rozległe wsie: Żabie (obecnie Werchowyna) i Worochta, które 80 lat temu były tym dla Huculszczyzny co Bukowina Tatrzańska dla Podhala. Dalej na północ znajdują się rozwijające się kurorty górskie w Jaremczy i Truskawcu. Miasta ukraińskiego „podkarpacia” stanowią mozaikę obrazów biedy i zaniedbania oraz postępu w zachodnioeuropejskim stylu. Kołomyja – stolica Pokucia i Stanisławów (obecnie Iwano-Frankowsk) powoli odzyskują dawny blask. Zrujnowana pozostaje większa część Sambora i Drohobycza. W tak skomplikowany i zróżnicowany teren wiodła trasa naszej czterodniowej podróży. Była to wyprawa dla wytrawnych turystów – pozbawiona fajerwerków znanych, turystycznych atrakcji, takich jak zamki w Chocimiu i Kamieńcu Podolskim, za to obfitująca w setki kilometrów dziurawych, ukraińskich dróg i niezapomniane krajobrazy dolin Prutu i Czeremoszu.

Podczas naszych wcześniejszych wyjazdów na Ukrainę zdobyliśmy doświadczenie w przekraczaniu granicy, która stanowi obecnie wschodnią granicę Unii Europejskiej. Przepisy celne oraz duże natężenie lokalnego ruchu związanego z przemysłem alkoholu i papierosów powodują, że czas oczekiwania na odprawę sięga często kilku godzin. W związku z tym zdecydowaliśmy się przekroczyć granicę w Krościenku w Bieszczadach. Po noc-

legu w Ustrzykach Dolnych, wczesnym rankiem znaleźliśmy się przed szlabanami przejścia granicznego. Nie było kolejki. Jednak z nieznanych nam początkowo przyczyn celnik ukraiński przetrzymywał nasze paszporty. Okazało się, że zabrakło banknotu o odpowiednim nominale włożonego do jednego z dokumentów. Uzupełnienie tego przeoczenia rozwiązało problem, ale wiązało się z ponad dwugodzinnym opóźnieniem. W związku z tym konieczne okazało się zredukowanie planów zwiedzania. Zrezygnowaliśmy między innymi z odwiedzenia zamku Herburtów w przygranicznym Dobromilu, którego trudnodostępne ruiny wznoszą się na odosobnionym wzgórzu nieopodal miasta. Budowniczym „wysokiego” zamku był Jan Szczęsny Herburt, który zyskał sławę jako jeden z buntowników XVII-wiecznej Rzeczypospolitej na wzór Stanisława Stadnickiego, zwanego „Diabłem Łańcuckim”.

Na obiad stanęliśmy w pobliskim Samborze. Stare, królewskie miasto nad Dniestrem, szczyt swojej świetności przeżywało w XV i XVI wieku, będąc za rządów królowej Bony, stolicą starostwa, zwanego ekonomią Samborską. Obecnie, mimo, że stanowi ważny węzeł kolejowy (odjeżdżają stąd również pociągi do Polski nazywane „przemysłowcami”), jest bardzo zaniedbane. Zachował się kościół farny, będący siedzibą polskiej parafii rzymskokatolickiej, działającej nieprzerwanie nawet w okresie powojennym. Kościół jest jedną z największych świątyń gotyckich na Rusi. W mieście znajduje się także cerkiew grekokatolicka, a w dawnym klasztorze bernardynów działa okresowo sala koncertowa. Odrobinięto jest także rynek i XIX-wieczny ratusz. Jednak okolice starego miasta sprawiają przygnębiające wrażenie. Zakurzone ulice i targ, przypominający nasze bazyły z lat 80-tych, a także rozklekotane ciężarówki, motory z przyczepami i motocykliści w hełmofonach oraz wiekowe autobusy z butlami gazowymi na dachu stanowiły nie lada atrakcję dla tych uczestników wycieczki, którzy nie pamiętają dawnych czasów i pierwszy raz byli na Ukrainie.

Po pokonaniu ponad 400 km ukraińskich „bezdroży” późnym wieczorem



Po noclegu w
Ustrzykach Dolnych

rem zamajaczył przed nami kontur wysokich gór. Zanim dotarliśmy w pobliże Czarnohory musieliśmy pokonać szosy rejonu Stryja, Doliny i Kałusza, które wymagają od kierowcy maksymalnie wyłączonej uwagi. Odcinki względnie dobrej nawierzchni przeplatają się z fragmentami niemalże polnej drogi; zdarzył się także przypadek brodu w poprzek strumienia, którego woda sięgała osi kół. Mimo, że poruszaliśmy się po głównych, krajowych drogach, dopiero w rejonie Stanisławowa jakość nawierzchni poprawiła się na tyle, że na niektórych odcinkach można było przekroczyć prędkość 100 km/h. O zmroku wjechaliśmy w dolinę Prutu, minęliśmy Jaremcze i za Worochtą rozpoczęliśmy poszukiwania ośrodka Kieremicz.

Za sprawą rozwoju turystyki, do której promocji przyczynił się prezydent Leonid Kuczma, zapraszając swoich gości do luksusowych willi w Jaremczy, rejon Czarnohory doświadczył olbrzymiego postępu ekonomicznego.

Jak grzyby po deszczu, w ciągu ostatnich 10 lat, zaczęły wyrastać ośrodki wypoczynkowe, stylowe restauracje i koliby. Na Zakarpaciu powstał region zimowych sportów – Bukowel, bazujący na rozwijającej się bazie noclegowej i licznych wyciągach narciarskich.

Nasze zdziwienie nie miało końca. Przyzwyczajeni do siemieżnej Ukrainy, nagle znaleźliśmy się w świecie alpejskich willi do wynajęcia. W przestronnych pokojach były telewizory, lodówki z w pełni wyposażonym barciem i czyste toalety, a wszystko to za bardzo niską cenę. Niestety, nie mieliśmy zapewnionej pogody. Przez następne dwa dni czekał nas intensywny opad deszczu.

Mimo niesprzyjającej aury, podczas porannej chwili roz pogodzenia, wyruszyliśmy w kierunku wsi Jaremcza, a właściwie do jej korzeni – przysiółku Dora. Wznosi się tam drewniana, pokryta gontem, wspaniale odrestaurowana cerkiew pod wezwaniem św. Michała pochodząca z XVII wieku.

W samej Jaremczy, mimo dużych zniszczeń w czasie wojny, zachowała się przedwojenna, polska willowa zabudowa i stara cerkiew pw. Św. Jana Miłościwego. Na centralnym placu nieopodal dworca stacji kolejowej stoi nadal pomnik żołnierzy radzieckich. Miłośnicy niedługich, pieszych spacerów mogą wybrać się ścieżką przyrodniczą do skały Dobosza, w której pobliżu ten czarnohorski zbójnik, odpowiednik tatrzańskiego Janosika, ukrył swój cenny skarb. Jednak większość turystów trafia przede wszystkim na huculski targ, na którym można kupić wyroby miejscowego rękodziela. Niestety, z upływem lat wybór huculskich cacek staje się coraz bardziej ograniczony, a to co oferują sprzedawcy przypomina tandetę rodem z bazaru pod Gubałówką. Niedosyt wyniesiony z huculskiego bazaru może zaspokoić widok wodospadu na Prucie. Za czasów Związku Radzieckiego podkładano w tym miejscu ładunki wybuchowe. Wodospad, choć niższy o kilka metrów, zachował swój majestatyczny wygląd. Równie imponująco przedstawiają się pozostałości kolejowego, przedwojennego mostu. Kamienne, łukowe przesło liczyło 65 metrów prześwitu i było najdłuższym ówczesnym kamiennym łukiem w Europie. Inskrypcje konstruktorów mostu może odszukać dociekliwy turysta po pokonaniu stromej ścieżki na skałach nieopodal wodospadu na Prucie.

Howerla (2058 m n. p. m) – święta góra Ukraińców. Co roku prezydent Wiktor Juszczenko wraz ze zwolennikami bloku Nasza Ukraina, a często z zagranicznymi gośćmi, zdobywa szczyt. Okazją do patriotycznej manifestacji jest między innymi dzień 18 sierpnia. Tego dnia w 1991 roku proklamowano akt niepodległości Ukrainy. Takie zbiorowe wejścia mogą liczyć nawet ponad 1000 uczestników. Nic więc dziwnego, że zdarzają się wypadki. Pewnego razu przy pięknej pogodzie, członków rządowej wycieczki ubranych w odświętne stroje i białe koszule zaskoczyła burza. Zginął męczennik rażony piorunem.

Wydawało się, że pogoda pokrzyżowała nasze ambitne plany wejścia na Howerlę. Tym czasem po południu niebo nad Jaremczą zaczęło się roz-



pogadzać. Kluczem do zdobycia szczytu było dotarcie samochodami do turbazy w Zaroślaku. Na polanie położonej na wysokości 1270 m n. p. m. w 1927 roku Polskie Towarzystwo Tatrzańskie założyło schronisko. Stylowe budynki uległy zniszczeniu w czasie wojny, a na ich miejscu w latach 70-tych pojawiły się betonowe klocki obiektów dla radzieckich olimpijczyków.

Do Zaroślaka można dotrzeć szutrową, wymywaną przez potoki drogą,

rozpoczynającą się od szlabanu na granicy Karpackiego Parku Narodowego. Park jest częścią Karpackiego Rezerwatu Biosfery. Strażnik Parku przepuścił nasze samochody po uiszczeniu odpowiedniej opłaty i złożeniu przez nas deklaracji, że tego dnia, ze względu na pogodę i późną porę, szczytu nie będziemy zdobywać. Atak na Howerlę, który nastąpił chwilę później, można by w nomenklaturze wspinaczkowej określić jako wejście w sty-

lu alpejskim. Pokonanie blisko 800 metrów przewyższenia zajęło nam około 2 godzin i późnym wieczorem 12 członków wycieczki stanęło na wierzchołku. Najmłodszy „wspinacz” skończył kilka dni wcześniej 2,5 roku. Ostatnie kilkadziesiąt metrów przed wierzchołkiem szlak staje się bardzo stromy i pokonuje serię małych skałek, a pod samym szczytem stare pole śnieżne. Howerla w tym miejscu ma piękny kształt prawie regularnego stożka. Ze szczytu roztacza się wspaniała panorama Czarnohory, w której dominują pokryte połoninami dwutysięczne szczyty – Pop Iwan i Pietrosul. Wśród kosodrzewiny, która jeszcze niedawno karczowana była w celu uzyskania olejków eterycznych, ukrywa się tajemnicze Jezioro Niesamowite, a nieco dalej pod Gutin Tomnatykiem, w tatrzańskiej scenerii, Jezioro Tomnackie.

Na szczycie Howerli powiewa żółto-niebieska ukraińska flaga i stoi obelisk z wizerunkiem godła Ukrainy – Tryzubem. Flaga symbolizuje błękitne niebo rozpościerające się nad łanami żółtej pszenicy; symbol trójzębu wywodzi się być może od kultu Posejdon, czczonego niegdyś na wybrzeżach Morza Czarnego.

Była to wyprawa dla wytrawnych turystów – pozbawiona fajerwerków znanych, turystycznych atrakcji, takich jak zamki w Chocimiu i Kamieńcu Podolskim, za to obfitująca w setki kilometrów dziurawych, ukraińskich dróg i niezapomniane krajobrazy dolin Prutu i Czeremoszu



Niestety, nie dane nam było zbyt długo delektować się widokiem ze szczytu. Porywisty wiatr; temperatura bliska 0 °C i nadciągające chmury zmusiły nas do szybkiego odwrotu. Po 4 godzinach akcji znaleźliśmy się w komplecie w Zaroślaku i wróciliśmy na zasłużony odpoczynek do Worochty.

Poranek następnego dnia zastał nas w drodze do Żabiego. Ta niegdyś pełna turystów wioska, których przyciągał huculski folklor, jest obecnie typową ukraińską osadą. Żabie było największą gminą II Rzeczypospolitej, w której działały ośrodki kultury huculskiej, teatr huculski, sąd i szpital, specjalizujący się, ze względu na panującą na tych terenach endemiczną kiłę, w chorobach wenerycznych. Do dzisiaj zachowały się nieliczne drewniane gospodarstwa, stara cerkiew w Ilezy, do której przed laty ściągali Huculi z całej Czarnohory na doroczny odpust, a także drewniane płoty – worynie, oddzielające pastwiska różnych gospodarzy. Zielsko zarosło ślady po dawnych klawzach – zaporach na górskich rzekach, za pomocą których spiętrzano wodę w celu spławiania drewna. Żegluga powiązaną konopnymi sznurami tratwą była nie lada wyzwaniem dla dawnych turystów. Można ją przyrównać do dzisiejszego raftingu. Tratwa wodowana była na sztucznym jeziorku, które tworzone powyżej klawzy. Flisacy przygotowywali się do sterowania tratwą. W tym momencie otwierano zapórę i masy wody wraz z tratwą spływały w dół rzeki. Z klawzy Szybne zlokalizowanej u stóp Popa Iwana w górnym biegu Czarnego Czeremoszu można było dopłynąć kilkadziesiąt kilometrów niżej do samego Żabiego.

Wśród coraz niższych wzgórz wybiła droga doprowadziła nas do stolicy Pokucia – Kołomyi. To blisko 70-tysięczne miasto, swój obecny wygląd zawdzięcza m. in. Festiwalom Huculskim. Kiedy po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości możliwe stało się organizowanie wielkich festynów poświęconych lokalnym społecznościom, Huculi przebywający na emigracji w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie oraz w krajach Europy nie szczędzili funduszy na odbudowę miasta. Między innymi dzięki ich datkom w 2000 roku

Cerkiew w
Werchowynie



Drohobycz

Cerkiew w Samborze



Stanisławów



Cerkiew w Drohobyczu



doszło do gruntownej odbudowy starożytności, a skoczne kołomyjki znów rozbrzmiewają na kołomyjskich ulicach.

Historia Kołomyi, choć licząca ponad sześć wieków i związana z działalnością żup solnych, Polakom kojarzy się z dwoma faktami. W 1915 roku Kołomyja znalazła się na linii frontu walk rosyjsko-austriackich. Władze z Wiednia postanowiły utworzyć w mieście II Brygadę Legionów, zwaną później Karpacką lub Żelazną. Jej dowódcą został płk. Kütner, a następnie płk. Haller. Już na początku swego istnienia, Brygada rozstrzelała się budową w kilka dni karkołomnej drogi na Przełęcz rozdzielającą pasma Czarnohory i Świdowca. Od tego czasu przełęcz nazywana jest Przełęczą Legionów. Miłośnicy poezji mogą kojarzyć Kołomyję z osobą Stanisława Vincenza – miłośnika Huculszczyzny, którego powieść „Na wysokiej połoninie” inspirowała Czesława Miłosza oraz stała się lekturą polskich turystów, którzy ze względu na sytuację polityczną nie mogli dotrzeć w Czarnohorę.

Kulturze huculskiej poświęcone jest działające w Kołomyi Muzeum Huculszczyzny i Pokucia. Trzypiętrowy stylowy gmach zawiera znakomitą i unikalną ekspozycję strojów, sprzętów, fotografii i innych przedmiotów związanych z przeszłością Huculów. Nieopodal znajduje się także jedyne w Europie Muzeum Pisanek, którego budynek w kształcie jajka z daleka zdradza swoje przeznaczenie. W mieście działają kościoły i cerkwie, wśród których cerkiew pw. Św. Michała Archanioła została podniesiona do rangi katedry grekokatolickiej. Jednak najcenniejszym zabytkiem architektury sakralnej jest drewniana, kryta gontem cerkiew cmentarna, pochodząca z XVI wieku, której należy szukać na obrzeżach miasta.

Spod cerkwi wydostaliśmy się wyjątkowo dobrą drogą prowadzącą wprost do Stanisławowa. Dzisiejszy Iwano-Frankowsk jest stolicą zamożnego obwodu i liczy ponad 250 tysięcy mieszkańców. Śródmieście niczym nie różni się od dynamicznie rozwijających się miast Polski, Czech, czy Węgier. Ten rozwój zapoczątkowany podczas panowania Austriaków i cesarza

Franciszka I, a potem kontynuowany w czasach II Rzeczypospolitej, został zahamowany przez władze radzieckie, których decyzją była m. in. zmiana nazwy miasta. Iwan Frank – ukraiński pisarz i profesor; doczekał się zresztą wielu pomników w radzieckiej Ukrainie.

Wyłączony z ruchu deptak z parasolami kawiarenek doprowadził nas do gruntownie odnowionego rynku, wokół którego zlokalizowanych jest większość interesujących miejsc Stanisławowa. Najważniejszym zabytkiem Stanisławowa jest kolegiata pw. Najświętszej Marii Panny, w której znajdują się prochy członków rodziny Potockich. Józef Potocki – hetman wielki koronny, obwarował miasto potężnymi fortyfikacjami, które odpierały z różnym skutkiem najazdy Turków, Kozaków i Rosjan. Paradoksalnie mury miejskie ograniczały rozwój miasta. Stał się on możliwy dopiero po ich zburzeniu za czasów zaboru austriackiego. W kolegiacie znajduje się też ciało Stanisława Potockiego, od którego imienia miasto wzięło nazwę. Stanisław Potocki herbu Pilawa wślawił się przewiezieniem do Stanisławowa

relikwii św. Wincentego. Otrzymał je w Rzymie od papieża Innocentego XI. W trakcie podróży morskiej z Włoch, pod Brukselą, przeżył na statku wybuch prochu. Cudem ocalony finansował budowę kolegiaty. Zginął kilkanaście lat później w trakcie Odsieczy Wiedeńskiej, a jego serce spoczęło w kaplicy Habsburgów pod Wiedniem. W Stanisławowie są też kościoły ormiańskie, cerkwie grekokatolickie i prawosławne oraz stara synagoga.

Mimo złudnego europejskiego blachtru Stanisławowa byliśmy wciąż na Ukrainie i czekała nas trudna podróż do Truskawca. Liczyliśmy, że znane uzdrowisko przyjmie nas wysokim poziomem usług. Nie pomyliliśmy się. Hotel „Truskawiec”, którego budynek z zewnątrz przypomina stare komunistyczne bloki, mieści pokoje o przyzwoitym standardzie. Na Ukrainie nie jest jednak proste. Rezerwacji noclegów dokonuje się nadal drogą telefoniczną; czasami można użyć w tym celu faxu. Poczta elektroniczna nie jest jeszcze zbyt pewnym sposobem porozumiewania się. Raz dokonana rezerwacja jest rzeczą świętą, nawet jeśli później zostanie przesłanych sze-

reg informacji dotyczących zmiany liczby uczestników wycieczki. Na listy korygujące zwykle nie uzyskuje się już odpowiedzi. Zasada jest jedna – turysta ma zapłacić maksymalnie wyśrubowaną kwotę za zarezerwowane usługi, bo rzadko kiedy powróci w odwiedzone regiony Ukrainy. Tak było w naszym przypadku. W podobnej sytuacji znaleźliśmy się rok temu w Kamieńcu Podolskim, gdzie ktoś po prostu podkupił nasze pokoje. Tym razem pokoje czekały na nas. Było ich jednak znacznie za dużo i to rozsianych w całym 10 piętrowym gmachu.

Prosperita pensjonatów w uzdrowisku w Truskawcu opiera się na prywatnych inwestycjach typu *all inclusive*. Działają też wielkie hotele – sanatoria, jak „Beskid” i „Dniepr”. Wile i sanatoria oferują wszelkie usługi z dziedziny przyrodolecznictwa, posiłków i noclegów. Poza pensjonatami nie ma jednak czego szukać w Truskawcu. Park zdrojowy pozostaje zrujnowany i w permanentnym remoncie. Pijalnia wód mineralnych, z których najbardziej znana jest „naftusia”, przypomina poczekalnię dworcową zamykaną w najbardziej nieoczekiwanych



godzinach szczytu ruchu turystycznego. W uzdrowisku zachowało się jedynie kilka pięknych XIX-wiecznych willi i odremontowany polski kościół. Aż trudno uwierzyć, że w ostatnim sezonie przed II Wojną Światową uzdrowisko odwiedzało miesięcznie 22 tys. kuracjuszy, którzy mogli mieszkać w ponad 280 willach i pensjonatach. W czasach II Rzeczypospolitej Truskawiec uważany był za drugie, po Krynicy, najznamienitsze polskie uzdrowisko.

Z pewną ulgą opuszczamy Truskawiec, kierując się w stronę Drohobycza, przez obszar nazywany w XIX wieku „Galicyjskim piekłem”. W pobliżu Drohobycza wyrosło w tym czasie jedno z pierwszych na świecie zagłębi przemysłu naftowego. Ropa naftowa zalegała niezwykle płytko i wydobywano ją prymitywnym sposobem już od wieków. W roku 1909 wydobywano ponad 2 mln ton rocznie, co stawiało galicyjskie zagłębie naftowe na III miejscu na świecie. Wokół 1200 szybów naftowych powstała chaotycznie zbudowana osada – Borysław. Warunki życia były tu ciężkie i potentaci naftowi budowali swoje wille w pobliskim Drohobyczu. Pożary szybów, zdarzające

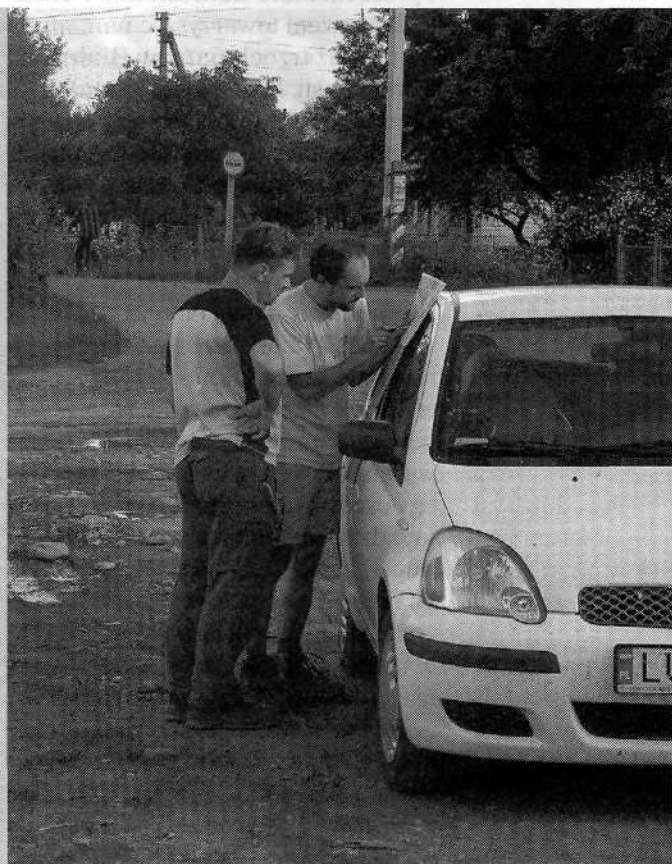
się bardzo często, były nie lada atrakcją turystyczną. W okresie międzywojennym złoża ropy naftowej uległy niemal całkowitemu wyczerpaniu, a Drohobycz po krótkiej prosperie znowu zaczął przypominać miasteczko z wierszy Brunona Szulca.

Senna atmosfera Drohobycza miała dla nas urok prowincjonalnego miasteczka, przypominającego to odmawiane przez Szulca w „Skleпах cynamonowych”. Na ulicach w pobliżu rynku działały budki z przeróżnymi towarami, apteka przy ul. Mazepy oferowała swoje produkty jak przed laty, a naprzeciwko niej przyjmował gości bar, w którym miejscowi przychodzili na piwo zaopatrzeni we własny prowiant. W ruinie pozostały synagogi, pamiętające czasy, gdy w Drohobyczu mieszkało ponad 15 tysięcy Żydów. Świat Żydów drohobyckich, utrwalaony w książkach Brunona Szulca, zniknął bezpowrotnie w czasie II Wojny Światowej. Sam pisarz został zastrzelony na stopniach gimnazjum, w którym uczył rysunku, przez oficera SS – Karla Günthera w 1942 roku. Do dzisiaj zachował się przy dawnej ul. Floriańskiej dom, w którym urodził się

i mieszkał Bruno Szulc. Natomiast malowidła, stanowiące ilustrację bajek braci Grimm, które Szulc tworzył na ścianach pokoju dzieciennego w willi komendanta gestapo Feliksa Landaua, zostały w 2001 roku wywiezione do Jerozolimy. Malowidła te stały się przyczyną śmierci Szulca – Günther zastrzelił artystę, będącego pod opieką komendanta, w odwecie za zamordowanie przez Landaua felczera, który świadczył Güntherowi usługi dentystryczne.

Wszystkie zabytki Drohobycza, nawet gotycki kościół farny i kamienice drohobyckiego rynku, wydają się blaknąć naprzeciw wspaniałych drewnianych cerkwi zlokalizowanych na obrzeżach miasta. Trzy cerkwie z XV, XVI i XVII wieku, poza harmonijną architekturą, odznaczają się niepowtarzalnymi wewnętrznymi polichromiami wykonanymi w technice tempery. Zwiedzanie Drohobycza zakończyliśmy wśród willi potentatów naftowych przy ul. Iwana Franki.

Pora było już wyruszyć w powrotną drogę do Polski. Czekala nas przecież niełatwa przeprawa przez jedną z ostatnich prawdziwych granic Europy.



Mistrzem w organizacji wycieczki okazał się jak zwykle Mirosław Rybak. Przewodnikami byli: Elżbieta Krawczyk oraz znawca polskiej historii i niezawodny towarzysz podróży – Piotr Paprzycki. Wielkie podziękowania należą się naszym koleżankom, dzięki, którym najmłodszy uczestnik wycieczki znalazł się na Howerli